Hochschober!



Tomek wysiada i ucieka boso. Łapiemy go i każemy iść na górę. Wcześniej wypijamy po pół litra zimowego płynu do spryskiwaczy.



Pory roku siłują się. Tym razem jeszcze wygra jesień.



1h35′ z parkingu! Jest się z czego cieszyć. W tle Hochschober (3240)



Wspomniana wspinaczka na przełęcz



Staniskascharte (2936 m)



Trop zająca na wysokości ponad 3 tys. metrów



Ponad przełęczą



W centrum poniżej Grossglockner



Tomek na szczycie, w tle piękna panorama.



Ekipa na szczycie



Po latach dzik wyszedł z szuflady. I ma już partnerkę.



Aga zaczyna schodzić . Słońce jest już nisko.

Wchodzę do schronu i widzę truchło leżące pod syntetycznym całunem.
– O! Kamila nie żyje! Cała fasolka będzie dla mnie! – wołam.
Spod śpiwora w mocno zwolnionym tempie wysuwa się dłoń z

wyprostowanym środkowym palcem.
– Nie… rusz… fa…solki – wybełkotał zombiak.

Jak to się wszystko zaczęło?

Na kilka dni przed wyjazdem wrzucam posta na FB. „Teren bez lodowca, dostępny dla każdego”. Zależy nam, żeby dołączyła para, która będzie działała na własną rękę, a my będziemy robić swoje.

Godzinę później budzi nas córeczka. Dziwnie płacze i ma przeszło 39 stopni gorączki. Klasyka, jeśli chodzi o planowanie wyjazdów przy małych dzieciach. Post na stronie zostawiam, ale priorytet się zmienia. To oczywiste.

> *K: Odpaliłam Facebooka, przeglądam aktualności i natykam się na wpis, w którym Dziku Maniak udostępnił zdjęcie. Klikam zatem a w poście napisane tak: „wolne dwa miejsca na wyjazd”. Myślę sobie: w sumie fajnie byłoby pojechać gdzieś wyżej z ekipą bardziej doświadczoną. Mogłabym się skupić na doświadczeniu własnych blokad i zdarciu ich. „Teren dostępny dla każdego kto chodzi po górach”… myślę, że szczerze napisane, więc zaliczam się.*
>
> ### *Decyzja*
>
> *Zgłasza się kilku solistów, ale nie przeszkadza nam to. Najwyżej się zapoznają i będą sobie działać razem. Przez najbliższe kilka dni sprawdzamy prognozy na różnych portalach i analizujemy. Szansę wyjazdu szacuję na jakieś 50%. Do ostatniego dnia mamy problem z podjęciem decyzji. Aga wolałaby zrezygnować, ja ciągle się waham. Tomek dopytuje w sms: „jaka decyzja?”. W głowie przełączają mi się przyciski, kręcą trybiki, zacierają, mieszają i formatują tabelki. I ciągle wraca myśl: „jak nie teraz to dopiero w przyszłym roku, może nawet w czerwcu”. Na dodatek Mysia, jak to ma w zwyczaju choruje tylko 2 doby… decyzja może być tylko taka:*

JEDZIEMY!

Alpy dla każdego

„These mist covered mountains…” – śpiewa Mark Knopfler w radiowej Trójce – a ja mam wrażenie, że odkąd wyruszyliśmy co drugi kawałek jest właśnie o mgle w górach.

Ta niepewna prognoza odstraszyła kilku potencjalnych śmiałków i na koniec tylko (albo aż) jedna osoba decyduje się na wyjazd z nami. Będzie to dla niej pierwsze starcie z Alpami i tego typu zdobywaniem szczytu (raki, czekan, ekspozycja). Oczywiście nikt nam nie każe jej za sobą ciągać, ale jeszcze przed wyjazdem kiełkuje we mnie myśl: „ma 2 nogi, 2 ręce, powinna dać radę”.

W sumie bez sensu to, co napisałem powyżej, bo jakby ktoś miał 1 nogę, albo 1 rękę, to i tak nie widziałbym przeciwwskazań. Alpy są dla każdego.

> *K: Dojeżdżamy z Tomkiem na Bielany pod alejkę nr 28. Dziku i Aga śmiejąc się do siebie komentują, że to oni troje są odpowiedzialni za wyjazd, bo ja nie wiem w co się pakuję. Myślę sobie, że wiem mniej więcej na co się nastawiać… trochę niepogody zimą w Karkonoszach przeżyłam, ale Karkonosze to średnie góry, a jedziemy do cholery w ALPY.*
>
> ### *Start*
>
> *Bez żadnych przygód dojeżdżamy na miejsce, czyli na parking w lesie na wysokości 1656 m. Tradycyjnie z Wrocławia zajęło nam to jakieś 10-11h jazdy, chociaż ja w aucie siedzę z jedną dłuższą przerwą od jakichś 19 godzin, bo trzeba było dzieci do babci odwieźć. Przepakowujemy się i wśród przepięknych, pokrytych szronem modrzewi maszerujemy w górę. Paradoksalnie to właśnie wyżej, tam gdzie dociera słońce, drzewa są*

pozbawione białej pokrywy.

Do schronu docieramy z Agą zaledwie po 1,5 h marszu. Już w trakcie podejścia rozważamy zaatakowanie głównego celu tego samego dnia. Jutro ma być lipa z pogodą, a dziś jest pięknie, tylko ten dzień taki krótki… trzeba się liczyć z powrotem po ciemku. Powinno się udać.

Tomek i Kamila docierają niedługo po nas. Odetchniemy, posilimy się i wyruszamy całą czwórką na szczyt.

> *K: Ta przestrzeń w towarzystwie wysokich ścian górskich i majestatycznych szczytów sprawia, że czuję lęk przestrzeni. Staram się nie patrzeć w górę, bo przyprawia mnie to o zawroty głowy. Mówię po pewnym czasie do Tomka, że jeśli będę mieć problem to zatrzymam się i powiem, że jest źle. Inaczej to będę tylko potrzebować krótkich przerw, aby uspokoić oddech i serce, które bije mocno i szybko. Dotarliśmy pod schronisko, gdzie Aga z Dzikiem już zaczęli się ogarniać.*
>
> ### *Szczyt*
>
> *Wejście na Hochschober daje nam wiele satysfakcji ze względu na dobre tempo i wcale nie łatwy teren. Trzeba mieć na uwadze też to, że mamy za sobą całonocną jazdę samochodem i marsz od parkingu. Być może z właśnie z tego powodu odczuwam kilkakrotnie dziwne zawroty głowy, jakich rzadko doświadczam. Szczególnie stanie się to dotkliwe w zejściu, kiedy to czasem stracę równowagę, czasem się przewrócę, a na koniec przywalę kolanem w kamień i będę kulał przez prawie 2 tygodnie.*
>
> *Wchodzimy stromą ścieżką na skalne rumowisko – pozostałość po lodowcu. Podążamy dobrze oznakowanym szlakiem aż do skał pod przełęczą. Zostawiamy kijki*

i wspinamy się na przełęcz, potem po szerokim, ośnieżonym zboczu wdrapujemy się coraz wyżej. Towarzyszą nam ślady zająca, to dość nietypowe w takim miejscu. Zrozumiałbym, gdybym natknął się na odciśnięte kopyta kozic górskich, ale te charakterystycznie ułożone zajęcze łapy na tej wysokości i w takiej stromiźnie?! Widać, że zając w pewnym momencie zakręcił się w miejscu i zawrócił. A może skoczył w przepaść. Ewidentnie w środowisku zajęcy musiał mieć opinię niezłego krejzola.

> *K: W mojej głowie pojawiło się pierwsze wyjście w góry, gdzie szłam z centrum Karpacza na Śnieżkę przez Kocioł Łomniczki. Było mi niesamowicie ciężko, a ostatnie metry przed szczytem wyglądały tak, że za rękę wlókł mnie mój znajomy. „To jakbyś wlazła pierwszy raz na Śnieżkę wtedy… tylko tak dwa razy tego dnia" – myślę. Powoli przesuwałam granicę, do którego momentu dojdę. Nie liczyło się dla mnie, by zaliczyć szczyt, droga mnie interesowała. Doszliśmy do momentu, kiedy trzeba było odstawić kijki i zacząć się wspinać po skałach. – Wspinałaś się kiedyś? – Dziku mnie pyta.*
>
> *W pobliżu szczytu mamy do pokonania stopień skalny i jest on mocno oblepiony śniegiem. Pomagam Kamili przedostać się przez niego, ale ogólnie sama radzi sobie świetnie. Niełatwo jest wyczuć chwyty i stopnie, a wszelkie nierówności dla pewności lepiej wpierw odkopać. Tu główną robotę wykonała Aga, która przeszła pierwsza. Widać, że jest mocno zmotywowana by osiągnąć cel, ale jednocześnie wielokrotnie podkreśla, że pilnuje deadline'u. Jeśli nie staniemy na szczycie w ciągu kilkunastu minut, może będzie*

trzeba zawrócić.

> *K: Dziku się pyta dlaczego zdecydowałam się pojechać. Odpowiedź jest prosta. Spotkałam jego, przeczytałam wpisy na blogu, natknęłam się na post o dwóch wolnych miejscach, a co najważniejsze… czułam się gotowa. Ale nie byłoby mnie tam gdyby nie decyzje z przeszłości, dlatego cieszę się, że jestem tu, gdzie jestem. Dlatego też śmielej patrzę w przód, pozwalam się zaskakiwać, odpuszczać sobie i mobilizować się do osiągnięcia celu. A co najważniejsze… zdrowo ufać drugiemu człowiekowi.*
>
> *Powyżej stopnia wystaje gdzieniegdzie spod śniegu stalowa linka prowadząca na końcowy odcinek grani. Aga idzie jako pierwsza i kopie się w głębokim, białym puchu. Wyciąga ten piorunochron spod masy obsuwającego się śniegu, krzyczy na nas, żeby zrobić odstęp. Faktycznie teren niepewny, bo pod nami okropnie stromy stok. W głowie kotłują mi się myśli, analizuję co się stanie jak to, a co się stanie jak tamto. Chcę mieć zawsze wyjście awaryjne, ale tu naprawdę trzeba się zdać na los i wygrzebać się z tego poprzez dojście do skał na szczycie. Nie ma czasu na kombinacje, bo słońce już nisko a czas ucieka niemiłosiernie.*
>
> > *K: I oto on – Hochschober 3240 m.n.p.m. – jest nasz! Aga wyraża swoje zadowolenie i swój entuzjazm, a ja nie wiem co mam zrobić. Nie odczuwam lęku wysokości. Po prostu patrzę, oglądam*

miejsce, w którym się znalazłam. Czuję spokój. Spokój mnie ogarnia od stóp do głów. Jestem u siebie.

Parę minut po godzinie 15-tej stajemy w komplecie pod krzyżem na szczycie. Widoki przepiękne, takie listopadowe, wyjątkowe. To okres, kiedy górne partie przykryte są dziewiczym, świeżym puchem a w dolinach wciąż panuje jesień. Uwielbiam ten okres. To była dobra decyzja, jeśli chodzi o wyjazd. Wstrzeliliśmy się w TO okienko. Tak jak planowaliśmy. Tydzień później w Alpach spadnie tyle śniegu, że padną stwierdzenia o opadach stulecia. Szkoły będą zamknięte, a lawiny będą wjeżdżać z impetem do wysokogórskich miejscowości.

Na szczycie nie spędzimy dużo czasu. Podziwiamy widoki, robimy kilka zdjęć i schodzimy. Kolejność się nieco odwraca, ale znów Aga wyrywa do przodu. Imponujące, jak wiele się zmieniło w jej podejściu do zdobywania szczytów. Jest znacznie szybsza niż kiedyś i więcej od siebie wymaga. Ledwo nadążam, idę niepewnie, czasem się poślizgnę i przewrócę. Na przełęczy jednak, pomimo zbliżającego się zmroku oznajmiam jej, że idę na inny z pobliskich szczytów.

END

teskt: Dziku (i K.)

